

Piotr Romaszuk

Dom pod akacjami : opowiadanie inspirowane życiem Kazimierza Wójcika - szewca z Mińska Mazowieckiego

Rocznik Mińsko-Mazowiecki 20, 247-251

2012

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych oraz w kolekcji mazowieckich czasopism regionalnych mazowsze.hist.pl.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

PIOTR R O M A S Z U K

Dom pod akacjami**Opowiadanie inspirowane życiem Kazimierza Wójcika
– szewca z Mińska Mazowieckiego**

W przepastnych szufladach szafy pradziadków zachowały się tajemnice wielu pokoleń mojej rodziny. Skarby pachnącej naftaliną i pooranej przez korniki szafy zachęcały do wciąż nowych poszukiwań, a moja mama Teresa oraz wujek Mirosław, jako dzieci skrzętnie z tej możliwości korzystali.

Brzęczały i zawsze tam przeszkadzały, upchnięte głęboko na dnie, pałeczki Henryka – marzyciela werblisty, syna pradziadków. Najmłodszy i najbardziej niesforny z rodzeństwa sprawdzał tymi pałeczkami stan akustyczny mebli, najbardziej jednak upodobał sobie stary taboret obity niebieską skórą. Wesołą piosenkę o krasnoludkach z trzema żonami, jakiej jej wujek nauczył, moja mama pamięta do dzisiaj.

W tekturowym pudełku z herbacianymi różami na wieczku, ciocia Wandzia przechowywała kolorowe sreberka po cukierkach, pocztówki, wstążeczki i listy. Moja babcia Bogusława przechowywała tam listy miłosne od męża Stanisława oraz wiersze, które dla niej pisał. Prababcia Apolonia upychała tam kłębki wełny, koronki i pasmanterię oraz kolorowe szmatki.

Na dnie szuflady leżało też drewniane szewskie kopyto, jedna z niewielu pamiątek po moim pradziadku Kazimierzu. Zostało ich naprawdę mało: brązowa szafa, stół i komoda – meble obstalowane przez niego u pana Szczypiorskiego (ojca mińskiego poety Krzysztofa); wykonane dla wnuków drewniany koń na biegunach, przedwojenny obrazek św. Teresy oraz zrobione przed domem pod akacjami zdjęcie z córeczką Bogusią.

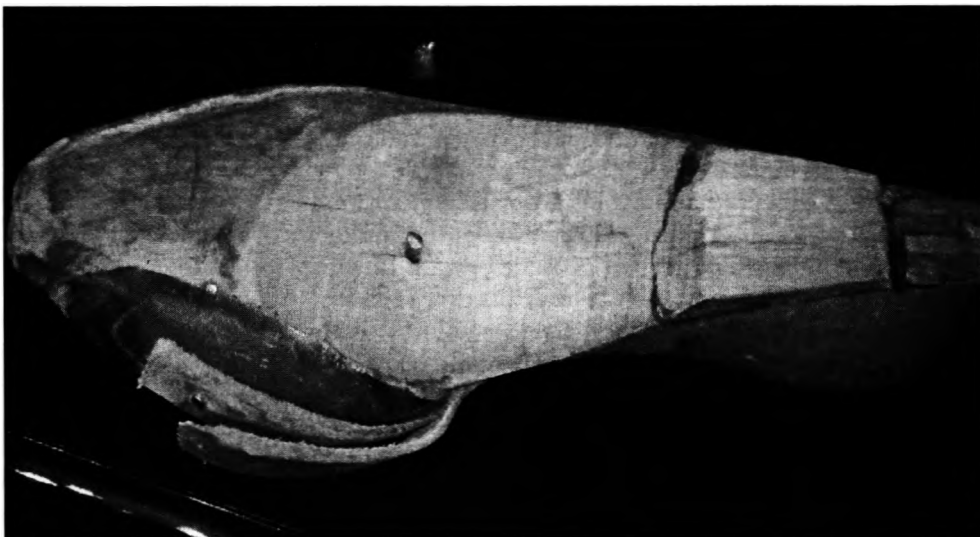
Stojąca na górcie drewniana oficyna moich pradziadków zagubiona była wśród piasków, ciągnących się aż do ulicy Karczewskiej. Za domem widniał maleńki kierkut żydowski (może z kilka grobów) oraz sosnowy zagajnik, gdzie w żółtym piasku bawiła się dzieciarnia z całej okolicy. To pierwsze samodzielne mieszkanie przy ulicy Rydza Śmigłego 12 (po wojnie ulica Wronia, obecnie ulica Konstytucji 3 Maja) wynajęte było u dziedziczki Żarnowskiej.

W bardzo skromnych warunkach, w jednej izbie i sieni toczyło się życie pięcioosobowej rodziny szewca, który fachu nauczył się u pana Nowickiego. Ciepło od rozgrzanej węglem kozy, zapach gorącego mleka, szept wieczornej modlitwy, muzyczne bulgotania wydobywane podczas prania na tarze i schyło-

na nad warsztatem postać ojca, to wczesne wspomnienia z dzieciństwa mojej babci Bogusi. Pod oknem piętrzyły się różnej maści buty i trzewiki, które Kazimierz reperował lub wykonywał.

Moja babcia dostała kiedyś od taty takie eleganckie buciki, które dla ozdoby porysowała zaraz szkiełkiem i oczywiście została surowo ukarana. W tamtych czasach taki bucik był drogi, solidnie wykonany, wyklepany, sklejonny (nie to co teraz – jednorazowy) i oczywiście miał starczyć na długo, bo była wielka bieda.

Prababcia Apolonia pracowała dorywczo, prała, pielęła w ogrodach, a najstarszą córkę prowadziła wówczas do ochronki dla dzieci (róg ulic Warszawskiej i Kazikowskiego). Żeby podreperować budżet rodziny, pradziadek co dwa miesiące trzepał dywany u dziedziczki, nosił węgiel oraz deszczówkę do prania, kopał grządki, reperował zamki, naprawiał schodki, wbijał gwoździe, czyli wykonywał wszystko, co tylko „złota rączka” wykonać potrafi. Kiedyś nawet zrobił dla dzieci drewnianą piaskownicę, w której bawiła się, mieszkająca obok mała wówczas Krystyna Gucewicz, z domu Hryniewiecka – dziennikarka, poetka i pisarka.



Kopyto

Moja babcia, którą nazywano w dzieciństwie Różyczką, często chodziła się bawić do drewnianego domu Żarnowskich, stojącego obok (zachowanej do dziś) wille sędziego Malczewskiego. Duży ogród z owocowymi drzewami, krzewami porzeczek, warzywami, jaśminami, bzami, kwiatami oraz kapliczką Matki Boskiej był dla dzieci cudownym rajem.

Bezpieczny, serdeczny i pogodny świat ludzi, którzy się nawzajem lubili powoli odchodził. Wszystko, pracowite, ale spokojne życie moich pradziadków, wesołe, huczne przyjęcia oraz jazda konna u państwa Walentyny i Władysława

Żarnowskich, beztrioskie zabawy mojej babci Boguni z dziećmi sąsiadów – Walewskimi i Góreckimi, oglądanie z zapartym tchem zaćmienia słońca czy występy uczniów pani Wieczorkiewicz w szopie strażackiej raptownie zakłóciła I wojna światowa.

Pradziadek Kazimierz w 1939 roku został powołany do wojska i wyruszył walczyć. Prababcia Apolonia musiała sobie w tym czasie radzić sama, dostawała też zasiłek na siebie i dziecko. Mała Bogusia – moja babcia, nie miała żadnych zabawek. Bawiła się najczęściej zrobioną przez mamę szmacianą lalką oraz obrazkiem świętym. Było im bardzo ciężko.

Pradziadek wrócił z wojny szybko. By wyżywić rodzinę, chodził do wsi Antonina, a tam u wujka Władzia mielił zboże na żarnach. W ten sposób zapewniał swym bliskim chleb. W czasie okupacji pracował w Siedlcach, zabiegał o żywność dla żony i córki, a czasami przywoził im nawet smakowity rarytas, czyli masło.

W czasie wojny żółte piaski ulicy Rydza Śmigłego utraciły swój blask, drewniane domki skurczyły się i zbrzydły, a bezkresne błękitne niebo ukryło się pod rozdartą chmurą strachu. Pierwszy nalot na Mińsk Mazowiecki wcale nie był pokazem sztucznych ogni ani też pierwszą wiosenną burzą. Pradziadek z żoną oraz Różyczką siedzieli skuleni przy domu i z przerażeniem w oczach spoglądali na luny światła na niebie. Sparaliżowani strachem przyłgnęli do oficyny i nie próbowali nawet uciekać, a właściwie nie wiedzieli dokąd.

Każdy następny dzień był dla nich od tamtej pory próbą przetrwania, a i ludzie wokół, często niestety, nie budzili już takiego zaufania, jak niegdyś. Tuż za ogrodem państwa Żarnowskich, w niewielkim domku, mieszkała pewna kobieta, która okazała się folksdojczką. Chciała za kradzież oskarżyć do Niemców pradziadka Kazimierza, bo jej zdaniem ślady na śniegu prowadziły do jego domu. Pewnie skończyłoby się to źle, gdyby nie Władysław Żarnowski, który zaświadczył za pradziadka i w ten sposób go wybronił.

Niełatwe życie mińszczan stało się jeszcze trudniejsze i groźne, gdy Niemcy utworzyli nad rzeką getto żydowskie. Żydzi, jeszcze niedawno ich sąsiedzi i znajomi, musieli tam obowiązkowo przebywać, a na tych, których jeszcze nie schwytano, urządzano obławy. Ci, co uciekali z getta, byli rozstrzeliwani. Babcia Bogunia, jako mała dziewczynka widziała ciała zabitych Żydów, tuż za domem w kartoflisku dziedziczki Żarnowskiej.

Pamięta jeszcze do tej pory młodą kobietę z dzieckiem, która została zabita, bo chciała ratować życie. Nie miało ono wówczas wielkiej wartości. Każdego dnia wszyscy, nie tylko Żydzi, ocierali się o śmierć. Groziła każdemu za przetrzymywanie Żydów lub pomaganie im w ucieczce. Te tragiczne chwile były dla niejednego próbą jego człowieczeństwa.

Rankiem, następnego dnia po obławie, do domu pod akacjami wbiegł wystraszony Żyd. Mizerna, szara marynarka i przybrudzona koszula skrywały mocno wychudzone ciało. Spod czapki spozierały na rodzinę Wójcików czarne, jak węgle oczy. Nieme spojrzenie mówiło wszystko, a oczy błagały o pomoc.



Kazimierz Wójcik

Prababcia Apolonia dobiegła szybko do okna i zasłoniła firanki. Pradziadek Kazimierz ukrył Żyda za kuchnią węglową i tą część kuchenną także zasłonił. Ich córeczka Bogusia siedziała cichutko na żeliwnym łóżku i ani drgnęła, słychać było tylko głośne bzyczenie much pod sufitem. Nieznany im człowiek dostał pajdę chleba oraz ciepłą potrawę z komosy, którą tego dnia Pola właśnie zrobiła. Nieco później pozwoliła mu się umyć i w tym kąciku przespać. Żyd spał niespokojnie, jak ptak na gałęzi, a oni czuwali w coraz większym strachu.

Godziny dłużyły się, a wścibskie słońce wyjątkowo tego dnia zaglądało w każdy zakamarek izby i niepokoiło mieszkańców. W końcu przyszedł zmierzch i ciemna bezpieczna noc. Różyczka już spała, gdy Żyd z wałówką pod pachą wychodził cichaczem z mieszkania pradiadków.

Otuliła go najpierw ciemność nocy, a potem zapomnienie i trudy powojennej już rzeczywistości. Prawie nigdy o tym nikomu nie opowiadali, jakby groza tamtej chwili mogła na nowo nappełnić ich życie. Nigdy nie dowiedzieli się, czy Żydowi pomogli i jakie były jego dalsze losy. Podarowali mu od siebie jeden bezpieczny dzień życia. Tylko jeden, czy aż jeden dzień?!

Od tamtych chwil minęło ponad siedemdziesiąt lat. Pradziadek Kazimierz odszedł dawno temu, kartotekę prababci Apolonii zawieruszyli w niebie, toteż bardzo długo jeszcze cieszyła się życiem.

W miejscu, gdzie na górcie stał ich dom, mieści się budynek dawnego internatu Ekonomika. Zostały tylko akacje.

Słodkim zapachem ich białe kwiaty przywołują radosne chwile, jakie przeżywali ludzie, którzy niegdyś tu mieszkali, a poszturchiwane wiatrem strąki opowiadają ich nieznaną historię.

